

PRZEWODNIA SIŁA NARODU

**O ROBOTNIKACH W PRL Z HISTORYKAMI
ŁUKASZEM KAMIŃSKIM I STANISŁAWEM
JANKOWIAKIEM ROZMAWIA BARBARA POLAK**

B.P. – Wychowałam się w PRL. I w zasadzie niewiele potrafiłabym powiedzieć o klasie robotniczej. Mogłabym próbować ją opisać, ale byłby to opis fragmentaryczny i niezbyt głęboki. Pomówmy więc o peerelowskiej klasie robotniczej, jej rodowodach, zróżnicowaniu, losach. Przede wszystkim chciałabym, żeby nasza rozmowa pokazała wzajemne relacje między władzą a robotnikami; wszakże to robotnicy byli ideowymi bohaterami nowego systemu społecznego.

Ł.K. – W pierwszym okresie państwa ludowego robotnicy stanowią mniejszość zarówno w elitach partyjnych, jak i w elitach Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, ówczesnych najważniejszych organów w państwie. Według klasyfikacji marksistowskiej, znacznie więcej w tych miejscach jest osób pochodzenia drobnomieszczańskiego, burżuazyjnego. Taka struktura była jeszcze w KPP, robotnicy w elitach tej partii stanowili mniejszość. Liczba ta się waha od kilkunastu procent w latach czterdziestych do maksymalnie dwudziestu kilku procent. W 1945 r. jest w Polsce niewiele ponad milion robotników, zdecydowanie mniej niż przed wojną. Są skoncentrowani w dawnych regionach przemysłowych, najważniejsze ośrodki to Górny Śląsk, województwo krakowskie, kieleckie i przede wszystkim Łódź, która w latach czterdziestych będzie odgrywać szczególną rolę.

S.J. – Należy pamiętać, że w latach 1945 i 1946 klasa robotnicza jest w miarę jednorodna. Jest to przedwojenna klasa robotnicza, grupa z tradycjami. Widać to na przykładzie „Cegielskiego” w Poznaniu. „Cegielski” przed wojną stanowił arystokrację robotniczą. Te środowiska są jeszcze zamknięte, nie ma napływu nowych ludzi. Jeśli kiedykolwiek w PRL ta grupa była jednolita, to właśnie w tym pierwszym okresie. Później, na skutek ideologicznie motywowanej (jeśli klasa robotnicza jest przewodnią siłą narodu, to musi być najliczniejsza) przebudowy struktury społecznej, nastąpiła zmiana – drogą awansów i przemieszczeń na inne stanowiska. Tak było m.in. w okresie planu sześcioletniego.

Ł.K. – W latach 1945–1948 widać wyraźnie, że tam, gdzie są stare ośrodki, gdzie nie nastąpiły migracje, czyli stabilizacja struktur społecznych wśród robotników jest znaczna, tam więcej jest



strajków. Najwięcej strajków występowało w Łodzi, bo tam był statystycznie najwyższy, ponaddziesięcioletni, staż pracy w jednym zakładzie. Strajki wybuchają pod koniec marca 1945 r.

B.P. – Z jakiej przyczyny?

Ł.K. – 75 proc. strajków w tym okresie miało tło ekonomiczne – złe zaopatrzenie, opóźnianie wypłat, niskie wypłaty, niskie podwyżki płac, ale pojawiają się hasła polityczne. Do 1947 r. strajki mają bardzo burzliwy przebieg: towarzyszą im wiece, na które przyjeżdżają przedstawiciele partii, czasami wojska i administracji państwowej. Padają hasła: jak nie umiecie rządzić, to oddajcie władzę Mikołajczykowi. Podtekst polityczny staje się dość wyraźny. Było kilka fal strajkowych: pierwsza – jesień 1945 r., kolejna – cała wiosna 1946 r., z kulminacją w maju 1946 r., kiedy wybuchło ponad sto strajków w całym kraju. Są długotrwałe i kończą się lokautami.

B.P. – Jak władze reagują na strajki?

Ł.K. – Tutaj pojawia się zjawisko zmiany struktury klasy robotniczej. Władza dość szybko dochodzi do wniosku, że najskuteczniejszą metodą, oprócz typowych represji, czyli aresztowania, niekiedy procesów (rzadko, bo to jednak burzyłoby oficjalny obraz klasy robotniczej jako popierającej władzę), jest zniszczenie struktury społecznej w fabrykach. Zastosowano lokauty i masowe zwolnienia z pracy. Fabryka Poznańskiego w ciągu trzech lat strajkowała kilkanaście razy, potem przestała strajkować. Głównie dlatego, że za każdym razem zwalniano odpowiednią grupę osób, pojawiali się całkiem nowi ludzie, którzy nie znali się nawzajem. W tych warunkach skrzyknąć się na strajk było znacznie trudniej.

S.J. – O ile w 1945 r. wiele rzeczy można było usprawiedliwiać niedawną wojną, o tyle w 1946 r. powoli zaczyna odradzać się życie gospodarcze. I ujawnia się indolencja władzy. Już nie można powiedzieć: brakuje wszystkiego, bo jesteśmy po wojnie. Starzy robotnicy dostrzegają brak organizacji i to ich denerwuje. Nasilają się strajki.

W Polsce trwa walka polityczna, nie możemy o tym zapominać. Walka o władzę i walka o eliminację opozycji. Gomułka powiedział: władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy, a Osóbka-Morawski dorzucił: nie jesteśmy głupszy od sanacji, więc wyborów też nie przegramy. Ludzie wiązali nadzieje z Mikołajczykiem, nie



tylko wieś. Popierała go duża część zakładów, stara kadra klasy robotniczej również. Stłumienie dążeń do ewentualnych zmian politycznych nie jest proste. Władza postrzegała te świadome grupy robotników jako przeciwnika, a przynajmniej niepewnego sojusznika. W 1945 r. komuniści byli zdumieni. Tłumaczyli robotnikom: teraz fabryki są wasze, więc strajkujecie sami przeciw sobie, a Hilary Minc przypominał powiedzonko o synu, który postanowił odmrozić uszy na złość tacie.

W 1946 r. władza zaczyna się uczyć, jak radzić sobie ze strajkami. Już wie, że w grę wchodzi tylko realna siła. We wrześniu 1947 r. wybucha ostatni wielki strajk w Łodzi, strajk powszechny, bardzo dziwny. Zaczęło się od podniesienia norm, od podniesienia liczby maszyn, które ma obsługiwać jedna robotnica. W fabryce Poznańskiego z tego powodu doszło do bójki z aktywistą PPR. Natychmiast wybucha strajk, do którego przyłącza się całe miasto. Władza jest bardzo zaskoczona, jej przedstawiciele idą do innych zakładów i pytają: jakie są postulaty? Nie ma żadnych postulatów, panuje głucho milczenie. To już nie są te głośne strajki. Jedynie, co mają do powiedzenia to, że „jak ruszy Poznański, my też wrócimy do pracy”.

B.P. – Klasyczny przykład strajku solidarnościowego.

Ł.K. – Tak, zresztą 25 proc. strajków miało tło solidarnościowe: w obronie osób aresztowanych, zwalnianych z pracy, czasem w obronie dyrekcji. Tu znowu przykład łódzki – strajk w obronie byłych właścicieli fabryk, z żądaniami zwolnienia ich z więzienia lub przydzielenia im kierowniczych stanowisk w tych zakładach.

S.J. – W pierwszym okresie władza nakręcała strajki przeciw powrotowi dawnych właścicieli, żeby ułatwić sobie proces nacjonalizacji. Jakiejś części załóg mogło się to podobać, ale jak potem się okazało, że ta fabryka nie funkcjonuje tak jak przed wojną, zaczynają się strajki w obronie poprzedniego właściciela. To ważne przewartościowanie. Ciągłe mówimy o tej starej klasie robotniczej, świadomej swoich celów.

Lata 1947, 1948 są przełomem, bo zaczyna się napływ ludzi z awansu, których wyciąga się ze wsi, przemieszcza do fabryk i robi się z nich robotników. Starzy robotnicy odnoszą się do nich z wielką rezerwą, chociażby tylko ze względu na niski poziom ich kultury technicznej. Nie są partnerami, ale niewykwalifikowaną masą. W takich mieszanych załogach porozumienie jest bardzo trudne, oni przecież wchodzi w obce środowisko, gdzie na razie stanowią mniejszość. Dodatkowo mają świadomość, że to środowi-





ska nie jest przyjazne, że będzie ich postrzegało jako swego rodzaju intruzów, gorzej przygotowanych do pracy. Zjawisko to będzie się pogłębiało w miarę antagonizowania tych grup przez władzę.

B.P. – A gdzie sojusz robotniczo-rolniczy?

Ł.K. – Skoro mówimy o sojuszu robotniczo-rolniczym we władzy, to była fikcja, bo jeśli w ogóle ktoś, to tylko robotnicy mieli pewien udział we władzy. Gdy porównamy skład władz partyjnych (niekoniecznie najwyższego szczebla), elit rządzących, okaże się, że nawet w komitetach gminnych robotnicy stanowią 80 proc., a rolnicy zaledwie 15 proc. Robotnicy na pewno nie mieli takiego poczucia – które było silne na wsi – odsunięcia od władzy. Jeśli można mówić o jakimś awansie, to dotyczyło to tylko miast. Rolnicy praktycznie nie awansowali, nawet na najniższych szczeblach władzy.

W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych ze wsi do miast trafiają nastolatki, dwudziestolatki. Trafiają do domu młodego robotnika, gdzie panują straszliwie prymitywne warunki bytowe, bałoty, fatalne wyżywienie, brak jakiegokolwiek higieny. To skutkuje masowym alkoholizmem, rozpasaniem seksualnym. Tak wyglądały tzw. hotele robotnicze. Upadek moralny, alkoholizm i zjawisko chuligaństwa. Ludzie nie mają absolutnie nic do roboty poza pracą fizyczną. To jest pustynia. Z czasem próbuje się organizować jakieś życie kulturalne, ale nie na dużą skalę.

Drugi etap następuje wtedy, kiedy ci ludzie dojrzewiają i zakładają rodziny. Pod koniec 1955 r. podnosi się standard życia. Inwestuje się w budownictwo mieszkalne. Pojawia się etap stabilizacji życiowej i wtedy w ludziach odżywiają wartości, które wynieśli ze wsi. Mamy do czynienia z rekatolizacją klasy robotniczej. Polska klasa robotnicza w okresie międzywojennym i tuż powojennym była zlaicyzowana, dotyczy to zwłaszcza działaczy PPS, związków zawodowych. Młodzi chłopcy i młode dziewczyny, którzy w latach pięćdziesiątych w Nowej Hucie oddawali się chuligaństwu, alkoholizmowi itd., już w 1960 r. walczyli o krzyż i o budowę kościoła.

S.J. – Dorzuciłbym tu jeszcze to, co z namysłem, czy przez przypadek, władzy wyszło – rozbijanie więzi środowiskowych i pokoleniowych – bunt przeciwko starym, bo starzy nie mają racji. To naturalny proces wśród młodzieży. Tak rozumują ludzie rzućni w zupełnie obce środowisko – my mamy rację, my rozwalimy ten stary świat i zbudujemy nowy. Na początku to mogło działać.

Nie mieli życia kulturalnego, ale na początku chyba nie mieli też i takich potrzeb. Z czasem obydwie pokolenia zbliżają się do siebie.

B.P. – Jak wygląda proces rzeczywistego uwiedzenia przez komunizm, mierzony np. procentem upartyjnienia środowiska robotniczego?

Ł.K. – Od zjednoczenia do 1956 r. nie następuje jakiś gwałtowny wzrost liczby robotników w partii. Jest to okres stabilizacji. Wróćmy jednak do elit. Elity centralne nadal są hermetycznie zamknięte. Dopisuje się do nich przodowników pracy, ale to jest zabieg propagandowy. Elity lokalne (to jest ciekawy problem) zamykają się na robotników. Systematycznie zmniejsza się liczba robotników we władzach. Niektórzy robotnicy są przenoszeni na stanowiska urzędnicze. Statystycznie obniża się liczba robotników czynnych we władzach. Władza to dostrzega i w latach pięćdziesiątych kilkakrotnie dochodzi do przymusowego awansowania robotników – przychodzi polecenie do Komitetu Wojewódzkiego, że należy awansować konkretną liczbę, rzędu tysięcy na województwo, robotników na stanowiska kierownicze. W ten sposób slogan o awansie stał się rzeczywistością, a z drugiej strony postarano się o przywrócenie takiej struktury władzy, w której robotnicy mają zauważalny udział. W wymiarze jednostkowym dochodzi wręcz do tragedii ludzkich. Z województwa do każdego powiatu, do każdego większego zakładu trafia dyrektywa – pięć, sześć osób trzeba awansować na stanowiska kierownicze, ale bez jakiegokolwiek związku z kompetencjami. Przeszeregowanie jest wykonywane mechanicznie i bardzo często kończy się tym, że po pół roku trzeba te osoby odwoływać, bo się nie sprawdzają. Ich tragedia polega na tym, że w tym czasie zostały znienawidzone przez swoich kolegów z pracy. I nie tylko z tego powodu, ale i z powodów formalnych nie mogą wrócić do środowiska robotniczego. Potem przesuwają się te osoby na niższe stanowiska urzędnicze, byle tylko się ich pozbyć.

B.P. – Robotnicy przedwojenni wiedzieli, co to bezrobocie, i wyobrażali sobie, że mogli odczuwać pewien lęk w chwili np. podejmowania decyzji o strajku. Czy wizja bezrobocia, która dzisiaj jest przekleństwem, mogła stanowić bicz na niepokornych?

Ł.K. – Trzeba pamiętać, że mitem jest, iż w Polsce Ludowej nie było bezrobocia. W latach czterdziestych panowało ogromne bezrobocie, w niektórych miejscowościach nawet kilkudziesię-





cioprocentowe, znacznie wyższe niż dziś. To jest taki paradoks – w latach pięćdziesiątych czy siedemdziesiątych, w drugim etapie industrializacji, cały czas powtarzano, że na wielkich budowach brakuje rąk do pracy – ale to nie znaczy, iż nie było bezrobocia. W niektórych regionach występowało ono nieustannie. Z drugiej strony, zwłaszcza w latach pięćdziesiątych, istniała ogromna fluktuacja zatrudnienia. To jest kolejny element procesu zrywania więzi. Były zakłady, w których fluktuacja w skali zakładu przekraczała sto procent. W ciągu roku wymieniała się prawie cała załoga. Robotnik zdawał sobie sprawę, zwłaszcza gdy miał jakiejkolwiek kwalifikacje, że wyjedzie w inne miejsce i znajdzie pracę. Paradoks polegał na tym, że jednocześnie istniało bezrobocie i zapotrzebowanie na siłę roboczą.

S.J. – Dodałbym tutaj, że jeśli ten bicz rzeczywiście działał, to wśród tzw. młodych robotników. Oni mogli się czuć zagrożeni. Starzy robotnicy mieli inną świadomość, inne horyzonty. Ale najgorszy był strach nie przed bezrobociem, ale strach wynikający z przekonania, że ta władza jest wszędzie, wie wszystko. To był strach przed czymś nieokreślonym. Przełomem będzie dopiero początek 1954 r., kiedy powoli zaczyna padać mit, że „oni” mogą wszystko.

Ł.K. – Trzeba pamiętać, że od 1947 r. urzędy bezpieczeństwa tworzą tzw. referaty ochrony, czyli swoje ekspozytury w zakładach pracy. Właśnie w zakładach pracy była najbardziej rozbudowana sieć agenturalna, poza tym jeszcze w środowiskach PSL, byłego podziemia. Środowisko robotnicze było bardzo intensywnie inwigilowane przez władze, nawet nie po to, żeby je kontrolować, tylko żeby zastraszać. W zakładach pracy wiedziano, kto jest z urzędu bezpieczeństwa. Mimo to istniały pewne formy oporu – ktoś coś powiedział, jakiś dowcip polityczny, napisał w toalecie hasło przeciwko Stalinowi. Bardzo dużo tych hasel spotykano w zakładach pracy. Referat ochrony szukał sprawcy. I taka osoba znikła.

B.P. – Znikła i co?

Ł.K. – Znikła z pola widzenia. Była aresztowana, stawała przed wojskowym sądem rejonowym i dostawała dwa, trzy lata więzienia. W opinii powszechnej ten ktoś po prostu zniknął. Był człowiek, nie ma człowieka. Czasami ogłaszano procesy pokazowe, zwłaszcza sabotażystów. Trzeba pamiętać, że kolejnym elementem tego strachu była psychoza sabotażu i szpiegomania. Coś się



Poznań 1956 r.

psuje, jakaś śrubka w maszynie – trzeba znaleźć sabotażystę. Zapadały bardzo okrutne wyroki, wykonywano kary śmierci. Organizowano procesy pokazowe, które skutecznie zastraszały ludzi.

B.P. – Tym skuteczniej, że w środowiskach przemysłowych pojawiła się nowa grupa – chłoporobotnicy.

S.J. – Ta zupełnie nowa kategoria w tzw. klasie robotniczej – chłoporobotnicy – pojawia się, i to na dużą skalę, pod koniec lat czterdziestych. To są ludzie trochę związani z danym zakładem, ale nie do końca. Kończą pracę, potem szybko wracają do domu i pracują na tym swoim kawałku ziemi. Stanowią zupełnie inną kategorię robotników. Są ludźmi bardziej zależnymi.

Ł.K. – Wykorzystywano ich np. w procesie kolektywizacji wsi, można było ich szantażować, że stracą pracę, a z ziemi nie byli w stanie wyżyć. Byli zaczynem dla spółdzielni – chłoporobotnik, milicjant, jakiś urzędnik – mieli niewiele ziemi i łatwo ich było do tej spółdzielni przymusić.

B.P. – Umiera Stalin, pierwszym sekretarzem PZPR zostaje Władysław Gomułka. Nadchodzi rok 1956.

Ł.K. – Jeśli mówić o genezie 1956 r., to przede wszystkim należy prześledzić skutki planu sześcioletniego. W ciągu sześciu lat liczebność klasy robotniczej wzrasta dwukrotnie. To są zupełnie inni, nowi ludzie. Z kolei obniża się realny dochód, który był i tak nędzny. W 1948 r. przeciętny dochód robotnika ledwo przekroczył 50 proc. dochodów z 1938 r. w wartościach realnych, a w okresie planu sześcioletniego obniżył się jeszcze o kilka procent. Oczywiście, funkcjonuje przekonanie, że przed wojną było lepiej, ale nie to jest ważne. Istnieje pełna niezgodność między propagandowymi deklaracjami władzy, która dba o robotników, żyjących nieomalże w raju, a brutalną rzeczywistością. Wczesne lata pięćdziesiąte to okres, kiedy ludzie po prostu cierpieli głód. W 1951 r. pojawia się ogromna fala strajków wynikających stąd, że w niektórych miastach przez trzy miesiące nie było dostaw mięsa. Rzecz jasna, można było kupić mięso pokątnie od chłopca, ale byli ludzie, którzy przez kilka miesięcy nie jedli mięsa. W 1953 r. wystąpiły kłopoty z chlebem, bo skumulują się błędy wobec wsi, związane między innymi z kolektywizacją i niszczeniem kutek, czyli niszczeniem gospodarstw towarowych, które dawały produkcję na rynek. Rok 1953 jest pod tym względem rokiem kryzysowym, nie 1956 r. Wtedy rzeczywiście było najgorzej.



B.P. – Czy władza próbowała kontrolować, kogo, jak i w co zaopatrywać? Czy były takie strategiczne miejsca, Górny Śląsk, Poznań?

Ł.K. – Nie.

B. P. – Czyli władza niczego nie uprzedzała swoimi działaniami dystrybucyjnymi.

Ł.K. – Władza dbała tylko o swoich ludzi, o kadry, które miały być wierne.

B.P. – Jednym słowem, władza nie bała się robotników.

Ł.K. – Myślę, że jej zabrakło wyobraźni. Chociaż zawsze była reakcja na brak dostaw żywności, zawsze towarzyszyła temu fala strajków. Brakowało mięsa – pojawia się fala strajków. Niektóre były bardzo duże, jak w Żyrardowie. Władza wtedy wprowadza kartki na mięso, żeby jakoś opanować sytuację i ulepszyć system dystrybucji. Później, w mniejszych miejscowościach, np. w Pabianicach, są kłopoty z chlebem. Dochodzi do tego, że ludzie z kolejek napadają na samochody, na furgonetki, które przewożą chleb. Sytuacja w jakimś sensie wymyka się spod kontroli, bo dochodzi do „zamieszek ulicznych”. Wszystko to działo się na zasadzie reakcji. Jeśli ważny zakład strajkował, to sytuacja okresowo się poprawiała, ale to nie znaczy, że jakieś ośrodki przemysłowe były uprzywilejowane, stałe miały lepiej. Działano doraźnie tylko po to, żeby był spokój.

S.J. – Przyjrzyjmy się propagandowej wizji planu sześcioletniego i rzeczywistości. Na przykładzie Poznania widać, że w latach czterdziestych przyjmowano tłumaczenie, iż kłopoty wynikają ze zniszczeń wojennych itd. Później mamy do czynienia ze świadomą, planową polityką inwestycyjną, która ma w ciągu sześciu lat zbudować podstawy socjalizmu, dać wysoki, przynajmniej propagandowo, poziom życia i start do jeszcze lepszego jutra. Efekt tej polityki jest taki, że wykonywanie planów produkcyjnych rwie się notorycznie, już od mniej więcej 1953 r., na skutek błędów popełnianych w organizacji pracy. Nie sposób prowadzić normalnej produkcji. „Cegielski” jest dobrym przykładem, bo zmuszono go do kooperowania z masą zakładów, przy czym pełna zależność od ministerstwa przemysłu maszynowego czy hutnictwa powodowała, że zakład nie miał swobody w doborze kooperantów. Wszystko szwankuje, rozłazi się transport. Nie sposób wykonać planu, a jak się nie wykona planu, to nie ma premii za wykonanie i zostaje licha pensja, która nie starcza na przeżycie miesiąca.





A do tego znika strach. Dopóki jeszcze panował mit, że władza wie i może wszystko i jej eksponentem jest UB, można było mieć nad ludźmi kontrolę. Od 1954 r. rodzi się problem. Zaczyna się szeptanie w zakładach pracy: zauważanie błędów, braków. To jest szeptanie, nie krzyk. Coraz śmielej jednak zaczyna się mówić o bólczkach i absurdach fatalnej organizacji produkcji, niekompetencji ludzi rządzących zakładem. W końcu oni mówią: no nie, tak dalej być nie może, bo nie do tego zmierzaliśmy.

Ł.K. – Warto dodać, że dochodzi do tego zwykle zmęczenie, bo jeśli plan się rwał, to pracowano po dwanaście godzin, nierazko – dwadzieścia cztery godziny. Przez całą dobę ludzie nie odchodzili od maszyn, a jeśli pracowali osiem, dziesięć czy dwanaście godzin, to później było szkolenie polityczne.

S.J. – Zaczyna się swego rodzaju polityczne dojrzewanie tych grup zawodowych. To jest powolny proces, który wcale nie przyniesie efektów w 1956 r., bo nie byłoby tego flirtu z Gomułką, nie byłoby wiecu poparcia na chyba największą w PRL skalę. Zaczyna kiełkować świadomość, że system nie jest dobry, skoro tak wielu rzeczy nie potrafi załatwić. Robotnicy „Cegielskiego” mówią – kapitałiści dawali sobie radę z kooperacją, a my w swoim państwie nie możemy sobie z tym poradzić.

Ł.K. – Dojrzewanie do całkowitej negacji systemu jest bardzo długie. Można powiedzieć jeszcze o innym dojrzewaniu, które jest związane z wymianą pokoleń. W latach sześćdziesiątych do zakładów wchodzi już całkowicie ukształtowany w tym nowym systemie. Widać to bardzo wyraźnie w 1970 r., czego na taką skalę jeszcze nie ma w 1956 r. – ludzie mówią: my jesteśmy klasą robotniczą. Jesteśmy najważniejsi. Strzały w grudniu na Wybrzeżu wywołały w całym kraju olbrzymie oburzenie. Dlaczego władza morduje klasę robotniczą? Władza nie chcący zbudowała w tych ludziach ogromne poczucie własnej wartości, przekonała, że klasa robotnicza jest najważniejszym elementem w życiu społecznym i politycznym kraju. To zaprocentuje w sierpniu 1980 r.

B.P. – Czy Poznań 1956 r. był największym zrywem robotniczym?

S.J. – Tak, to był zryw na masową skalę. Do tej pory spekulujemy, ile osób znalazło się w tym czasie na ulicy, ale to nie jest dobre kryterium. Nawet jeśli ustalimy, że manifestowało na ulicach miasta 150 tys. ludzi (nie wydaje mi się to zresztą możliwe, ale niech to będzie 100 tys.), to nie jest żadną miarą. Poznań był pierwszym na taką skalę świadomym działaniem robotników, i to prawie ze wszystkich zakładów miasta. Poznań

pokazać efekt dojrzewania do przekonania, że tylko w grupie, że tylko razem jesteśmy w stanie coś na władzę wymusić.

B.P. – Przypomnijmy najważniejsze hasła Czerwca.

Ł.K. — Można zaobserwować bardzo wyraźną ewolucję haseł i postaw – w ciągu dwóch dni – od robotniczego protestu po powstanie narodowe. Na początku: chcemy chleba, podwyżki płac itd., za chwilę: wolności i chleba. Pod koniec już nikt nie mówi o problemach ekonomicznych, tylko śpiewa się *Rotę*, pieśni patriotyczne, krzyczy się: precz z ruskimi kacapami, chcemy niepodległej Polski, precz z komuną itd.

S.J. – Na początku bunt ma podłoże ekonomiczne, wśród postulatów, jakie zgłosiły załogi zakładów pracy, początkowo nie było haseł politycznych. Obserwujemy jednak błyskawiczną ewolucję postaw. Od klasycznych postulatów – chcemy chleba, chcemy podwyżki pensji o 30 proc., chcemy obniżki cen, chcemy racjonalizacji norm – do walki zbrojnej. Ciekawa rzecz, kiedy ten bunt i robotniczy protest przeradza się w działania zbrojne, część tzw. starych robotników wycofuje się do zakładów pracy. Oni nie chcą mieć z tym wiele wspólnego. Jeślibyśmy prześledzili liczbę i strukturę wieku aresztowanych, to dominują wśród nich ludzie młodzi. Niesamowitą sprawą jest masowy udział dzieci w Poznańskim Czerwcu. Na niedawno odnalezionych zdjęciach to bardzo dobrze widać. One są wszędzie.

Narasta determinacja, ludzie mają świadomość, że wyjście na ulicę, bunt, ma swoje konsekwencje i że jeśli do końca nie zadowolą swoich postulatów, nie wrócą bezpiecznie do domu. Potem, kiedy rodzi się faza zbrojna, zachodzi bardzo prosta reakcja. Jak się widzi padającą kobietę, dziecko, rodzi się potrzeba odwetu na władzy, na tych, którzy to zrobili. Determinacja narasta. Nienawiść do władzy wtedy się najpełniej uzewnętrzniła. To nie była świadoma walka z władzą w celu obalenia systemu. Już na terenie budynku Komitetu Wojewódzkiego jacyś ludzie odwracają popiersie Lenina, które stało na parterze, żeby wódz nie patrzył na te straszne rzeczy, jakie się tutaj dzieją, nie pozwolono zniszczyć zresztą tego popiersia. Przy gmachu UB, tak przecież znienawidzonym, pojawiają się demonstranci, ale na początku nie obserwujemy odruchów agresji. Wszystko zmienia się w momencie, kiedy padają strzały, wtedy pojawia się nienawiść. Do niedawna sądziłem, że nienawiść do służby bezpieczeństwa na Węgrzech była taka, że nie sposób było nad tym zapanować. János Tischler, obecny dyrektor ośrodka kultury węgierskiej



w Warszawie, a kiedyś szef instytutu powstania węgierskiego 1956 r., powiedział, że gdyby władza wtedy wykazała się odrobiną wyobraźni, podwyższyła płace i poprawiła zaopatrzenie, nie doszłoby do tych tragicznych wydarzeń na Węgrzech. Nie wiem, czy sytuację strajkową w Poznaniu można było załatwić podwyżką płac i poprawą zaopatrzenia. Być może, gdyby władza trafiła w odpowiednim momencie do „Cegielskiego”... W Poznaniu patrzy się na „Ceglorza”. Kiedy w 1970 r. „Ceglorz” był spokojny, Poznań był spokojny. Czy gdyby do „Cegielskiego” trafił rozsądny przedstawiciel władzy i powiedział – „dobra panowie, załatwiamy wasze postulaty, dostajecie zwrot podatku, poprawimy zaopatrzenie, dostajecie odzież roboczą itd., podwyższamy wam pensję o sto złotych”, czy „Cegielski” zdecydowałby się na wyjście na ulicę? To są spekulacje, dzisiaj uczestnicy protestu twierdzą, że chcieli wywołać rewolucję systemową.

B.P. – Co na to pozostali robotnicy?

Ł.K. – Zanim odpowiem, warto się zastanowić, czy tym wydarzeniom można było przeciwdziałać. Trzeba zwrócić uwagę na to, co się później działo w październiku, kiedy władza „poluzowała”. Z jednej strony notuje się sukcesy, Gomułka cieszy się poparciem, ale to było poparcie tylko i wyłącznie dla Gomułki, nie dla całej partii. Z drugiej strony w Szczecinie, Bydgoszczy, Legnicy doszło nawet do ataków na koszary radzieckie, zamieszek ulicznych z bardzo radykalnymi hasłami antykomunistycznymi. Samo poprawienie sytuacji nie do końca wystarczy. Należy zapytać, czy my jesteśmy w stanie rozstrzygnąć, jak silna niechęć do systemu panowała w całym społeczeństwie, nie tylko wśród robotników, i czy to by wystarczyło?

S.J. – Pojawiają się hasła: jak nie załatwicie naszych potrzeb, to zrobimy wam drugi Poznań.

Ł.K. – Od lipca robotnicy w całym kraju wręcz szantażują władzę Poznaniem. To czasami bywa śmieszne, bo takie hasła pojawiają się nawet w dwu-, trzytysięcznych miejscowościach, gdzie oni żadnego Poznania nie są stanie zrobić. Ale w całej Polsce było bardzo wiele przejawów solidarności: ulotki, napisy na murach. O tym się zapomina, że wiele osób zostało skazanych za wyrazy solidarności z Poznaniem.

B.P. – Chciałam zapytać przy tej okazji, jak wyglądał stosunek Kościoła do robotników w ogóle, nie tylko w 1956 r. Czy istnieją jakieś formy duszpasterstwa, sprawowania opieki duchowej?

Ł.K. – Kościół ma w tym okresie tyle problemów z obroną własnego statusu, że nie obserwujemy szczególnego zaangażowania w protesty. Dopiero od połowy lat pięćdziesiątych w Kraśniku Fabrycznym czy w Nowej Hucie, w nowo powstałych ośrodkach, pojawiają się próby dotarcia do tej społeczności, która z założenia była pozbawiona opieki duszpasterskiej. Zresztą trzeba pamiętać, że we wzajemnych stosunkach istniała ambiwalencja. Kościół miał świadomość radykalnego nawet antyklerykalizmu w dużych skupiskach robotniczych, np. w Łodzi. Wyjątkiem był Górny Śląsk. Powojenni robotnicy byli mało religijni. Zbliżenie między Kościołem a robotnikami zaczyna się na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, dojrzewa w latach siedemdziesiątych, a tak naprawdę o sojuszu można mówić dopiero po 1980 r. I jest to oczywiście związane z tym procesem, o którym już mówiliśmy, rekatolizacji miast przez nowych robotników ze wsi, którzy wnoszą elementy tradycyjnego katolicyzmu.

B.P. – Skończył się 1956 r. Na jak długo udało się ułożyć stosunki między władzą a robotnikami?

Ł.K. – Na bardzo krótko. Latem 1957 r. występuje ogromna fala strajków. W Bydgoszczy, w Łodzi i wielu innych miastach stają największe przedsiębiorstwa. W Łodzi mamy słynny strajk tramwajarzy, spacyfikowany przez władzę. W odejściu robotników od Gomułki dużą rolę odegrały czynniki ekonomiczne. Po krótkiej poprawie zaopatrzenia w drugiej połowie lat pięćdziesiątych następuje regres w latach sześćdziesiątych. W 1967 r., po podwyżce ceny mięsa, Gomułka mówi robotnikom na Żeraniu, to ich nie dotyczy, przecież oni i tak nie kupują szynki.

S.J. – Ale po 1957 r. nie obserwujemy już masowych protestów w skali ogólnopolskiej. Władza, świadomie lub nieświadomie, związała ze sobą społeczeństwo (bo trudno tu mówić tylko o klasie robotniczej) tak zwaną małą stabilizacją. Nie jest już tak źle, żeby nie dało się żyć. Teraz pojawia się pokusa, żeby zaakceptować tę rzeczywistość, nie odnosić się do niej w żaden sposób. To na jakiś czas wystarcza. Władza już wie, że nie może zabraknąć chleba. Gomułka może powiedzieć robotnikom Żerania, że podwyżka cen szynki ich nie dotyczy, ale podwyżka ceny zwyczajnej już tak. Władza budując ten układ, czyli stabilizując płace i stabilizując ceny na niezmiennym w zasadzie poziomie (w latach sześćdziesiątych ceny w skali roku rosły o 1–2 proc., czyli w granicach błędu statystycznego), nieświadomie związała się ze społeczeństwem.



Ł.K. – Gomułka osobiście interesował się wielkością produkcji zboża, mięsa. On z pamięci rzucał dane o produkcji rolnej na poziomie powiatu, jakie jest pogłowie bydła, ile zebrano ton zboża. Bardzo tego pilnował. Zdawał sobie sprawę, jak kruchy jest ten układ i jak łatwo można go naruszyć. Lata sześćdziesiąte, ta stabilizacja, to też pokłosie lat stalinowskich, wychowania ludzi w strachu. Nie ma już takiego strachu, ale jednak w jakimś stopniu ludzie nauczyli się pokory i posłuszeństwa. Możemy tu wrócić do problemu strajków. W latach 1963–1964 mamy dwadzieścia strajków rocznie, chociaż nie ma już terroru. Do 1956 r., w okresie największego stalinizmu, nie było roku bez osiemdziesięciu, stu strajków. Ludzie nie protestują, być może nie widzą już sensu protestu, uznając, że to niczego nie zmieni. A poza tym nie są postawieni pod ścianą, to przyniesie dopiero rok 1970.

S.J. – Myslę, że pojawia się element mentalności ciułacza. Do 1956 r. pensja nie starczała na przeżycie, a więc nie było marzeń o niczym. W latach sześćdziesiątych pensja starcza na przeżycie i nawet troszeczkę można odłożyć, zaczyna się ciułanie na coś, może na wymarzoną pralkę „Frandę”. Jakiegokolwiek drgnienie układu rozwiewa te marzenia. Społeczeństwo ciułaczy nie jest społeczeństwem radykalnym.

B.P. – Wygląda na to, że zapowiada się ład i porządek.

Ł.K. – W latach sześćdziesiątych obserwujemy w zakładach proces stopniowego narastania konfliktu między robotnikami a inteligencją techniczną, której rola się zwiększa. Robotnicy mają olbrzymie poczucie upośledzenia. To są bardzo różne rzeczy – kwestia długości urlopów, innego systemu premiowania, przede wszystkim wysokości zarobków. Poczucie niesprawiedliwości wpływa w bardzo dziwnych momentach, np. w marcu 1968 r., kiedy w zakładach organizuje się zebrania, a robotnicy porzucają ten temat, zostawiają marzec, Żydów i mówią, wykorzystując sytuację, że inteligencja i tak nic nie robi, ma urlopy, ma dobrze, wywyższa się itd. Dopiero z tej perspektywy widać niesamowitość sierpnia 1980 r. – sojuszu mimo niechęci, chyba zresztą wzajemnej, bo inteligencja techniczna często z pogardą traktowała robotników.

S.J. – Mam wrażenie, że ten konflikt był świadomie przez władzę podsycany. Gdy już ktoś został tzw. inteligentem (to było pierwsze pokolenie inteligencji z awansu), mówił, „co tam z robotem będę rozmawiał”. Oni stają się kimś i zaczynają gardzić grupą, z której wyszli. Jeszcze im się wydaje, że władza o nich dba, że są uprzy-

wilejowani. Zanim dojdą do wniosku, że robot to człowiek i warto z nim porozmawiać, zanim druga strona zechce zmienić także swoją ocenę owego inteligenta, którego nazywa inżynierkiem, dyrektorkiem itd., zanim zacznie się proces schodzenia się tych dwóch grup, obie strony muszą przewyciężyć wzajemną niechęć i pogardę.

B.P. – W 1976 r. jest kolejny krach ekonomiczny, władze chcą wprowadzić podwyżkę cen żywności. Rok 1976 pokazał wielkie osamotnienie środowisk robotniczych. Czerwiec 1956 r. miał nie tylko kibiców, skończył się wszakże ogólnonarodowym październikiem.

Ł.K. – W latach siedemdziesiątych w środowiskach robotniczych dominuje już nowe, wychowane po wojnie, pokolenie, które znacznie różniło się od przedwojennej klasy robotniczej. Władza wie, że bardzo łatwo da się tę grupę zantagonizować. Ponadto inteligencja, w tym okresie hołubiona przez władzę, miała zupełnie inne perspektywy. Widziała już, że można funkcjonować inaczej, chociaż jeszcze nie rozumiała, że do tego potrzebna jest jedność środowiska.

S.J. – W porównaniu z początkiem dekady, w drugiej połowie lat siedemdziesiątych klasa robotnicza była bardziej hołubiona przez władzę niż w tym pierwszym okresie. Co więcej, władza kupiła spokój społeczny tym, co robił Gomułka, tylko na większą skalę. O ile Gomułka kupił sobie spokój społeczny zbudowaniem stabilnego układu cena – płaca (mówimy o cenach podstawowych produktów, dla Gomułki to co podstawowe było bardzo wąskim pojęciem), o tyle Gierek, zachowując stabilne ceny, gwałtownie rozbudził apetyty wzrostem płac. Rozbudzono aspiracje. Ludzie zobaczyli, że można żyć inaczej, Gierek pokazał im perspektywę. Zaczęto wyjeżdżać na Zachód. W okresie gomułkowskim wyjeżdżała tylko elita. Wyjazd na Zachód to szansa na błyskawiczne dorobienie się. Jeśli ktoś nie miał zastrzeżeń natury politycznej, dostawał paszport, a gdy udało mu się załatwić jakieś stypendium – np. dwa tysiące marek wystarczało mu na kupno mieszkania (pamiętając o ówczesnych relacjach cen w Polsce i na Zachodzie). Taka perspektywa neutralizuje nastroje inteligencji, a dla robotników następuje okres flirtu z władzą dzięki gwałtownemu wzrostowi stopy życiowej.

B.P. – Młodzi robotnicy w 1976 r. mają jeden cel – żyć wygodnie i bez problemów. Polityka ich nie obchodzi. W trakcie zajęć w Radomiu w ciągu kilkudziesięciu godzin stają się dojrzałymi mężczyznami, którzy



będą ponosić polityczne konsekwencje swoich czynów przez ładnych parę lat, także w życiu prywatnym.

Ł.K. – Trzeba powiedzieć, że w Polsce Ludowej każde pokolenie (w węższym niż socjologiczne znaczeniu) miało moment swojego dojrzewania. Wróciłbym jeszcze do kwestii kontaktów między robotnikami a inteligencją. To jest okres działalności KOR i nie tylko. Radom 1976 r. był doświadczeniem ważnym zwłaszcza dla inteligencji. Gdy dzisiaj czytamy wspomnienia czy relacje działaczy KOR, ludzi, którzy jeździli bezpośrednio do Radomia i Ursusa, jeszcze dziś widać, jaki oni przeżyli szok. Oni sobie nie zdawali sprawy, w jakich warunkach można mieszkać. Robotnicy to był dla nich całkiem obcy świat, nie bywali w domach robotniczych, nie wiedzieli, jak to wygląda. Zwłaszcza że władza (myślę, że świadomie) dotknęła represjami ludzi najniższego szczebla, na granicy marginesu społecznego. Szok był tym większy. Uświadomiono sobie realia.

S.J. – Dlatego uważam, że 1976 r. jest w sensie mentalnym większym przełomem niż rok 1980.

Ł.K. – Nie zgadzam się, ale zwrócę uwagę na drugi moment, w którym inteligencja styka się z robotnikami, albo raczej robotnicy z inteligencją. W latach siedemdziesiątych następuje odwrócenie procesu, o którym mówiliśmy przy okazji lat sześćdziesiątych. Na większości stanowisk robotniczych, zwłaszcza tych wykwalifikowanych, zarabia się znacznie lepiej niż na dowolnym stanowisku urzędniczym, nauczycielskim itd. Obserwujemy takie niezwykle zjawisko: pod koniec lat siedemdziesiątych wiele osób z wyższym wykształceniem ukrywa swoje wykształcenie, po to, żeby pracować na budowie i zarobić na mieszkanie, bo nie ma innej możliwości. W skali mikro zawiera się taki sojusz robotniczo-inteligencki. Z drugiej strony ci ludzie też coś wnoszą do tego środowiska – swoją wiedzę, wykształcenie, nawet jakieś ideały. Robotnicy są uświadamiani na różne sposoby. Trzeba pamiętać, że kiedy później powstają wolne związki zawodowe, wychodzi się do nich z pewną ofertą: jak się bronić, jak wykorzystywać struktury zakładowe, nawet te istniejące związki zawodowe. „Robotnik”, drugoobiegowe pismo wydawane przez KOR, osiąga kilkadziesiąt tysięcy nakładu. W latach siedemdziesiątych znowu wzrasta liczba strajków, nawet pomijając czerwiec 1976 r. Ta fala jest porównywalna z falą z lat czterdziestych i pięćdziesiątych.

S.J. – Dlatego powiedziałem, że 1976 r. jest większym przełomem niż rok 1980, że dotychczas taki sojusz byłby po prostu niemożliwy, że trzeba było przełamać niesamowite uprzedzenia w stosun-



ku do drugiej strony, żeby zacząć coś wspólnie robić. Nie byłoby sierpnia 1980 r., gdyby nie było tego wzajemnego zbliżenia w 1976 r.

Ł.K. – Ale była to skala mikro, skala jednostkowa. Od 1980 r. można mówić o doświadczeniu ogólnospołecznym.

B.P. – Paradoksalnie, bo przecież nikt wprost nie przyjmował do wiadomości haseł PRL, struktura państwa, może nie od strony ideologicznej, ale funkcjonalnej, zależała od robotników. Robotnicy byli sprawcami toższenia się historii PRL, tej niekontrolowanej.

Ł.K. – Tylko dlatego, że tak reagowała władza. Ale to nie tylko robotnicy, nie można ich oddzielić od reszty społeczeństwa. Wiele ważnych ustępstw władzy, np. odstąpienie od kolektywizacji wsi i planu likwidacji czy upolitycznienia Kościoła, odbyło się albo pod naciskiem konkretnej grupy, jak chłopci, albo pod naciskiem całego społeczeństwa, jak w przypadku Kościoła.

B.P. – Bunt robotniczy był jednak kamieniami milowymi.

Ł.K. – Bez wątpienia, to wedle nich zresztą przyjmujemy teraz periodyzację, mówiąc o pokoleniu 56., 70., 76., itd.

B.P. – A więc kolejny paradoks, PRL jednak poddawała się presji wewnętrznej, a siłą rzeczy największą presję mogli wywierać robotnicy.

S.J. – Należałoby uwzględnić jeszcze jedną okoliczność: władza nie miała wizji. Komunistom tylko się wydawało, że mają wizję celu. To byli administratorzy, którzy reagowali na bieżąco. Gdyby konsekwentnie realizowali jakąś wizję, wiele wydarzeń mogłoby wyglądać inaczej.

Ł.K. – Bo to jest grzech pierworodny tamtego systemu, który ciągnie się od rewolucji październikowej – oni nie potrafili działać inaczej niż w akcji. Nawet w okresie normalnym, w latach sześćdziesiątych, musiała być akcja siewna, akcja skupu, coś, co mobilizowało ich do walki. Paradoksalnie – oni najlepiej się czuli w momentach kryzysu, kiedy musieli walczyć. To była natura tej władzy: akcyjność, mobilizacja...

Ł.K. – Sierpień 1980 r. też był paradoksem – można powiedzieć, że to władza sobie wyhodowała tych robotników. Władza im nieustannie wpajała, że są przodującą siłą, że są wyjątkowi, że są powołani do rzeczy wielkich, i oni w końcu to wzięli poważnie, naprawdę wierzyli, że są przodującą klasą. Dlatego właśnie w grudniu 1970 r.



czy w sierpniu 1980 r. robotnicy bardzo się oburzali, gdy się mówiło o chuliganach. W 1976 r. było to samo – nie jesteśmy chuliganami, jesteśmy klasą robotniczą. Nawet nie wyjaśniali, co to znaczy, myśleli, że władza wie, co to jest klasa robotnicza.

S.J. – Istniało przekonanie, że na ich barkach odbywa się wszystko, co się w tym kraju dzieje. Przekonanie przeciętnego człowieka, jeszcze w latach osiemdziesiątych, jest takie, że za moje ciężko wypracowane pieniądze drugi człowiek się uczy. Często słyszeli to strajkujący studenci.

Ł.K. – Władza często wygrywała takie przekonanie, nie tylko w 1968 r.

B.P. – Skupiska wielkich zakładów to były ogromne rzesze ludzi, trudno było nie mieć poczucia siły, widząc, w jakich wielotysięcznych tłumach przemieszczają się chociażby tylko do pracy i z pracy.

Ł.K. – Paradoksalnie sierpień 1980 r. przyniósł największy chyba proces odsunięcia robotników od władzy. Część aparatu wtedy się zdemokratyzowała i wybory na konferencje sprawozdawczo-wyborcze w 1981 r. były demokratyczne. Znam przykład województwa wrocławskiego, ale myślę, że nie jest on odosobniony: 75 proc. wybranych delegatów wywodziło się z inteligencji. Okazało się, że kiedy władza zrezygnowała ze sztucznego podwyższania limitu robotników we władzy, oni sami nie byli tym zainteresowani. W latach osiemdziesiątych, mimo że do Biura Politycznego trafili towarzysza Zofia Grzyb czy towarzysz Albin Siwak, *de facto* władzę sprawował aparat partyjny, inteligencja. Robotnicy, gdy odnieśli największe zwycięstwo, paradoksalnie, najbardziej na tym stracili. Widać to dopiero z perspektywy lat dziewięćdziesiątych.

B.P. – Jeśli spojrzymy na to z perspektywy dzisiejszej, to powiedziałabym, że robotnicy jako klasa społeczna nie istnieją. Są zakłady przemysłowe i ich pracownicy, natomiast nie istnieje już klasa robotnicza.

Ł.K. – W latach dziewięćdziesiątych zanikła świadomość wspólnoty. Trudno byłoby zrobić akcję ogólnopolską. Można mówić jedynie o społeczności pracowników.

B.P. – Mamy kolejny paradoks, że PRL jednak była państwem robotników, w każdym razie wyznaczającym w historii tej grupy społecznej bardzo istotny okres.

Ł.K. – To się odbyło wbrew władzy, wbrew jej intencjom. Klasa robotnicza coś własną siłą zdobyła, to było zgodne z ideologiczną deklaracją władzy, ale wbrew jej rzeczywistym intencjom.

B.P. – Zdobyła bardzo wysoką pozycję, po której w ciągu dziesięciu lat niewiele pozostało.

Ł.K. – Trzeba pamiętać, że system komunistyczny był systemem chyba najbardziej konserwatywnym. W porównaniu z okresem przedwojennym, na początku lat pięćdziesiątych zmienił strukturę społeczną kraju, ale później ją zakonserwował.

S.J. – Dlatego w Polsce i w innych krajach socjalistycznych ta struktura społeczna przetrwała znacznie dłużej niż w krajach demokracji rynkowej. Nie podlegała przemianom z różnych względów, m.in. z powodu zapóźnienia technologicznego, które z kolei było efektem idei pełnego zatrudnienia. Nie będziemy unowocześniać procesu produkcji, bo to by skreśliło nam pewną liczbę stanowisk, a my musimy dać zatrudnienie kolejnemu wyżowi, który wchodzi w życie. Tak działał Gomułka.

Ł.K. – Ja raczej jestem zwolennikiem tezy, że to było wynikiem ogólnej indolencji władzy.



Łukasz Kamiński – dr nauk historycznych, specjalizuje się w najnowszej historii Polski i dziejów społecznych. Autor dwóch książek: *Strajki robotnicze w Polsce 1945–1948*, Wrocław 1999 i *Polacy wobec nowej rzeczywistości 1944–1948*, Toruń 2000. Redaktor „Studiów i materiałów z dziejów opozycji i oporu społecznego” wydawanych we Wrocławiu. Naczelnik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN we Wrocławiu.



Stanisław Jankowiak – dr nauk historycznych, adiunkt w Instytucie Historii Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu. Od kilkunastu lat prowadzi badania nad najnowszą historią Polski, ze szczególnym uwzględnieniem losu Niemców w Polsce po II wojnie światowej. Autor książki *Wielkopolska w okresie stalinizmu 1948–1956*. Autor podręcznika historii do pierwszej klasy gimnazjum i licznych tekstów popularyzatorskich. Naczelnik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Poznaniu.

